

Hillary Rodham Clinton,
Living History,
Simon and Schuster, New York 2003, ss. 562

Zapowiadane od dłuższego czasu wspomnienia Hillary Clinton budziły żywe zainteresowanie nie tylko jej rodaków. Małżonka Billa Clintona była bowiem osobą publiczną od lat i towarzyszyła mu w kolejnych szczeblach kariery politycznej. Co więcej, miała w tym swój niekwestionowany udział, choć jej osobiste zaangażowanie w programy i politykę małżonka budziły zawsze niemałe kontrowersje rodaków. Już jako żona gubernatora Arkansas stała się osobą powszechnie znaną i podziwianą przez wielu Amerykanów, zwłaszcza Amerykanki, ale też krytykowaną przez innych.

Przypisywano jej – zazwyczaj zgodnie, bo robili to także jej zawzięci adwersarze – duży udział w zwycięstwie wyborczym męża w 1992 roku. Nieprzypadkowo w prasie pisano o duecie i partnerstwie politycznym Clintonów, określając to jednym słowem – „Billary”. Sam prezydent elekt żartował, że Amerykanie głosując na niego podjęli właściwą decyzję, także dlatego że... za cenę jednego mają obu Clintonów w Białym Domu.

Hillary Clinton jako *First Lady* potwierdziła wcześniejsze opinie o swoim zaangażowaniu i aktywności. Przez dwie kadencje męża prezydenta towarzyszyła mu w rozlicznych podróżach, wspierała liczne inicjatywy rządowe, podejmowała także własne. Odwiedziła wszystkie stany USA i 78 państw, gdzie nieraz przebywała jako przedstawiciel czy „emisariusz” prezydenta. Od pierwszych dni w Białym Domu stała się nieodłączną częścią prezydentury Billa Clintona, budząc sympatię i podziw, a z drugiej strony zawziętą nieraz krytykę Amerykanów niezadowolonych z jej dużej aktywności i liberalnych poglądów. Ta zaangażowana i wpływowa, choć kontrowersyjna prezydentowa budziła żywe zainteresowanie milionów rodaków, którzy ni-

gdy nie byli wobec niej obojętni. W związku z różnymi zarzutami wobec Billa Clintona i jej samej, bywała w epicentrum zainteresowania opinii publicznej, zwłaszcza wpływowych mediów. W okresie oskarżeń o nadużycia finansowe i przygody seksualne męża, które uważała za nagonkę konserwatywnych republikanów, zdała – jak potem sama przyznała – bodaj najtrudniejszy egzamin.

W styczniu 2001 roku, kiedy Clintonowie opuszczali Biały Dom, miała przed sobą nowe poważne zadanie i wyzwanie – pełnienie obowiązków senatora w stanie Nowy Jork. Została w ten sposób pierwszą w historii USA *First Lady*, która takie stanowisko wybieralne pełniła. Rodacy spodziewali się też, że – podobnie jak inne prezydentowe – zechce napisać o latach spędzonych w Białym Domu. Stąd pewna niecierpliwość i oczekiwanie na zapowiadaną książkę, która ukazała się niedawno, stając się od razu bestsellerem.

We wstępie Autorka przypomina, że w dzieciństwie chciała być nauczycielką lub fizykiem nuklearnym, co traktowała jako swoją powinność państwową w dobie rywalizacji z systemem radzieckim, także na polu nauki (s. X). Jej dziecięce marzenia o atrakcyjnych zawodach, jak fizyk nuklearny czy kosmonauta – o czym mówiła nieraz w wywiadach – okazały się nierealne dla dziewczynki. Zrozumiała to dość wcześnie i, choć niechętnie, zmieniła swoje nadzieje i plany na przyszłość. Została prawnikiem.

Jak pisze Hillary Clinton: „Osiem lat w Białym Domu okazało się testem dla mojej wiary i politycznych przekonań, mego małżeństwa i naszej narodowej Konstytucji. [...] Ta książka opowiada o moich doświadczeniach w trakcie ośmiu lat w Białym Domu jako *First Lady* i żony prezydenta. Ktoś może zapytać czy mogłam należycie ocenić ludzi, miejsca i wydarzenia, które są tak aktualne, i w których wciąż biorę udział. Zrobiłam to najlepiej jak umiałam, zgodnie z moimi obserwacjami, przemyśleniami i uczuciami, których doświadczyłam. A zatem nie będzie to kompleksowa historia, lecz osobiste wspomnienia, które dotyczą niezwyklego okresu w moim życiu i życiu Ameryki” (s. XI). I tak należy traktować tę interesującą i ważną książkę.

W kilku pierwszych rozdziałach Autorka pokrótce opisała swoje dzieciństwo i młodość, okres studiów i początki pracy zawodowej. Jeden rozdział poświęciła Billowi Clintonowi i pierwszemu spotkaniu z nim, a potem fascynacji i miłości (s. 52–61), natomiast trzy kolejne latom w Arkansas i kampanii prezydenckiej. Zasadnicza część książki, zgodnie z zapowiedzią, obejmuje lata w Białym Domu, poczynając od Inauguracji w dniu 20 stycznia 1993 roku, a kończąc na zwycięskiej kampanii wyborczej Hillary Clinton na stanowisko senatora w Nowym Jorku i zakończeniu drugiej kadencji męża

prezydenta w styczniu 2001 roku (s. 101–534). Pracę zamyka bardzo użyteczny indeks, a jej dodatkową, niezwykle ważną zaletą są liczne i ciekawe fotografie przybliżające nie tylko publiczny, ale i prywatny wizerunek naszej bohaterki.

Trzeba przyznać, że Autorka nie unika tematów i wątków niewygodnych, trudnych, czasem wcześniej przemilczanych. Nie należy się jednak spodziewać, że zadowoli to czytelników spragnionych sensacji czy nawet tylko pełniejszej informacji. Zresztą już we wstępie Hillary Clinton zastrzegła, a na koniec – dziękując wielu osobom, które przyczyniły się do powstania książki – jeszcze raz podkreśliła, że opisała w niej swoje doświadczenia, opinie i interpretacje odnoszące się do wydarzeń i ludzi (s. 534).

Hillary Clinton przejdzie (już w jakimś sensie przeszła) do historii jako niezwykle aktywna i zaangażowana politycznie, choć kontrowersyjna *First Lady*. Już jako żona gubernatora Arkansas spotykała się z ostrą krytyką i napastliwością, zwłaszcza tradycjonalistek, które nie akceptowały jej aktywności. Używanie przez nią panińskiego nazwiska (Rodham) i jej niefortunne oświadczenie, że nie będzie piec i podawać ciasteczek (aluzja do kurtuazyjnych spotkań i pełnienia tradycyjnej roli żony polityka), spowodowało niemałą konsternację i falę oburzenia w Arkansas. Krytykowano ją za zbyt dużą samodzielność polityczną, niezależność poglądów, liberalizm i feminizm, a nawet za fryzurę czy stroje (s. 109–110). Szybko zrozumiała, jak ważny jest publiczny *image* i w przyszłości potrafiła o niego zadbać, choć z goryczą pisze, że obiektem zainteresowania mediów i bezpardonowej krytyki może być wszystko i nie zawsze, nawet mając rację, można się wybronić.

Po zwycięstwie wyborczym Clintona (3 listopada 1992 roku) Hillary zaczęła kompletować swój sztab. Starannie dobierała ludzi i określała ich miejsce w swoim zespole, do którego przylgnie z czasem określenie „Hillaryland” (s. 133). Była ona w pełni świadoma roli oraz znaczenia instytucji *First Lady* w amerykańskiej historii i od początku chciała ją należycie określić dla siebie samej. Poznawała przeszłość Białego Domu i jej mieszkańców, szukając w ten sposób inspiracji i wzorców. Doskonale znała działalność swoich poprzedniczek w Białym Domu, czemu dała wyraz na wielu stronach niniejszej książki. Niejednokrotnie i ciepło pisała o Lady Bird Johnson oraz Jacqueline Kennedy, z którą utrzymywała serdeczne relacje do końca jej życia. Hillary z szacunkiem wypowiadała się o prezydencie Johnie F. Kennedym i jego polityce. Również z rodziną Kennedych, zwłaszcza córką Caroline i jej mężem oraz z synem Johnem, miała dobre kontakty i podtrzymywała przez lata te więzi (s. 135, 180 i in.).

Hillary Clinton ma swoją ulubioną *First Lady* i bohaterkę do naśladowania, czemu dała wyraz również na kartach niniejszej książki (s. 148, 258–259, 443 i in.). Jej autentycznym wzorcem jest niedościgniona Eleanor Roosevelt, którą podziwia, czerpiąc z jej doświadczeń wiele pomysłów i inspiracji do swoich działań. Ponoć także w trudnych chwilach kryzysu małżeńskiego rozmyślała o równie bolesnych i gorzkich doświadczeniach pani Roosevelt, szukając w tym ukojenia i natchnienia. Niefortunne sformułowanie „o rozmowach z panią Roosevelt”, trawestowane potem na rozmaite sposoby, stało się znakomitą pożywką dla dziennikarzy, z upodobaniem piszących o jej „rozmowach z duchami”.

Nowa *First Lady* jest zafascynowana rozległą aktywnością pani Roosevelt, która zbudowała swój autorytet i wywalczyła silną, niezależną pozycję w Białym Domu. Jest ona znakomitą przykładem aktywistki i reformatorki społecznej w niełatwych przecież okolicznościach, w czasie kryzysu gospodarczego i II wojny światowej. Hillary Clinton, która nieraz o tym mówiła publicznie, składa i tym razem hołd Eleanor Roosevelt. Nawiązanie do legendarnej pani Roosevelt i jej dziedzictwa, co stało się swego rodzaju drogowskazem dla Hillary, nie zawsze było aprobowane przez Amerykanów.

Hillary Clinton niejednokrotnie wzmiankuje o swoim udziale w politycznych przedsięwzięciach męża. Pisze nieraz, że konsultował się z nią w ważnych kwestiach, licznych oficjalnych podróżach krajowych i zagranicznych. Czasem składała takie wizyty w jego zastępstwie bądź jako swoisty jego „emisariusz”. Była partnerem wspierającym go chętnie i zawsze, kiedy tego potrzebował. Wspierała go zwłaszcza w kwestiach, które były jej bliskie i którymi od lat się zajmowała, jak kwestie kobiece, sprawy zdrowia, edukacji, opieki społecznej etc. To właśnie jej na początku urzędowania prezydent powierzył reformę opieki zdrowotnej, którą uważano za jeden z priorytetów rządowych. Z wielkim zaangażowaniem i pasją zabrała się do tej pracy, do której też – jako przewodnicząca komisji ds. reformy służby zdrowia – zaangażowała rozmaite gremia specjalistów i polityków. Napotkała wszak nieprzewidywane trudności, które z czasem piętrzyły się i którym nie mogła sprostać. Oczywiście jej tłumaczenie (czemu poświęca wiele miejsca) trudno uznać za obiektywne, ale faktem jest, że starała się zreformować służbę zdrowia i system opieki społecznej, choć poniosła na tym polu kompletne fiasko.

W pracy tej znajduje się sporo sympatycznych wzmianek o mężu prezydencie, jego profesjonalizmie i kompetencjach. Podkreśla, że jest on świetnym mówcą, znakomicie radzącym sobie z publicznością w każdej, nawet

niesprzyjającej sytuacji. Wysoko też ocenia jego znakomite kontakty i mistrzowskie obcowanie z mediami, z czym ona akurat miała nieraz, jak przyznaje, liczne kłopoty.

Hillary Clinton, jak zapewnia, nigdy nie krytykowała decyzji prezydenckich męża, choć nie zawsze podzielała opinie na ich temat. Prywatnie, i w wąskich gremiach, chętnie dyskutowała i wyrażała inne zdanie, krytykując także politykę demokratów, ale nigdy nie robiła tego publicznie. Jedyne w sprawie *Medicaid* pozostała nieprzejednana i nie zgadzała się z polityką męża, zapowiadając dalsze starania w tej kwestii (s. 367–368).

Wiele miejsca poświęciła Hillary Clinton kwestiom kobiecym, niestrudzenie i konsekwentnie wypowiadając się za pełnym równouprawnieniem nie tylko w USA, ale i wielu krajach globu ziemskiego. Dała temu wyraz w czasie rozmaitych podróży, zwłaszcza w Afryce, Azji i Ameryce Łacińskiej. Jej udział w czerwcu 1995 roku w Światowej Konferencji Kobiet zorganizowanej przez ONZ w Pekinie był bardzo znaczący, a przemówienie, w którym prawa kobiet uznała za prawa człowieka, spotkało się z owacyjnym przyjęciem. Sama też jest dumna z tych działań, które dawały jej wiele radości i satysfakcji (s. 298–310).

Hillary Clinton bardzo ciepło wspomina rozmaite spotkania z ważnymi osobistościami kobiecymi, poświęcając im sporo uwagi. Przy każdej sposobności nie szczędzi życzliwych słów pod adresem kobiet polityków, jak choćby Soni Ghandi (s. 277), prezydenta Nikaragui Violety Chamorro (s. 312), prezydenta Irlandii Mary Robinson (s. 323). Życzliwie też wspomina spotkania z żonami wielu ważnych polityków, m.in. Bernadette Chirac (s. 339), Nanią Jelcyn, Kamiko Hashimoto, Flavią Prodi (s. 410). Ich doświadczenie i rozmowy na temat ich ról przy mężach politykach (w jakże różnych okolicznościach) były dla niej bardzo przydatne, jak przyznaje, w pełnieniu obowiązków *First Lady*. Przede wszystkim pozwalały jej lepiej zdefiniować i określić własne miejsce przy mężu prezydencie, co stale dopracowywała i doskonaliła.

Wiele ciepłych słów poświęciła Autorka Madeleine Albright, którą podziwiała za „doświadczenie dyplomatyczne, rozległą wiedzę o kwestiach światowych i osobistą odwagę”, znajomość wielu języków etc., co okazywało się jej bardzo pomocne w pełnieniu obowiązków amerykańskiego ambasadora przy ONZ. W grudniu 1996 roku prezydent Clinton zaproponował jej stanowisko sekretarza stanu, co zdaniem Autorki było znakomitą decyzją, którą w pełni popierała (s. 392–393). W ten sposób Madeleine Albright została pierwszą kobietą na stanowisku sekretarza stanu, co – jak czasem interpretowano w mediach, a i *First Lady* to podkreślała – było również

gestem wobec Amerykanek i zachętą do podejmowania politycznej aktywności. Niejednokrotnie też w tej decyzji Clintona doszukiwano się nie tylko inspiracji małżonki, ale i jej bezpośredniego wpływu.

W lipcu 1996 roku Hillary towarzyszyła małżonkowi w podróży po krajach Europy Środkowej, gdzie dyskutowano nad kwestią poszerzenia NATO. Szczególnie ciepło wspominała wizytę w Pradze, rozmowy z prezydentem Vaclavem Havlem oraz nadzwyczaj życzliwy stosunek Czechów do Amerykanów, który okazywano prezydenckiej parze podczas pobytu w różnych miejscowościach (s. 357–360). Równie serdecznie opisała spotkania z Jolantą i Aleksandrem Kwaśniewskimi oraz polskimi intelektualistami, m.in. Jerzym Turowiczem i Czesławem Miłoszem.

Hillary Clinton zaangażowała się w kampanię na rzecz szeroko rozumianej pomocy społecznej i opieki zdrowotnej dla milionów Amerykanów, którzy nie byli nią objęci. Na rozmaitych spotkaniach i w różnych gremiach wskazywała na potrzebę pomocy samotnym pracującym matkom, a zwłaszcza ich dzieciom, często zaniedbanym, rodzinom biednym, bezrobotnym etc. Widziała także potrzebę badań profilaktycznych, zwłaszcza dla kobiet, i stworzenia specjalnych programów pomocy skierowanych właśnie do nich. Z czasem w ramach partii demokratycznej, a zwłaszcza jej klubów kobiecych, propagowała to jako „*kitchen table issue*”. Krytycy uznawali to za „feminizację polityki” i korzystali z każdej sposobności, by dezawuować, a nawet ośmieszać te poczynania *First Lady*. Autorka zaś, jak pisze, wykorzystwała to jako atut, twierdząc, że jest to „humanizacja polityki”. Podkreślała, że właśnie w domu, w rodzinie, przy stole kwestie te powinny być dyskutowane, bo dotyczą wszystkich, nie tylko kobiet (s. 364).

We wspomnieniach Hillary Clinton przeplata wielką politykę ze sprawami prywatnymi, domowymi. Wprowadza rozmaite wątki, które nie tylko (czy nie tyle) były dla niej ważne, ale przede wszystkim interesowały Amerykanów i potencjalnego czytelnika (jest to zresztą stały chwyt większości autorów, więc nie należy się temu dziwić). Znajdziemy tu informacje i ciekawostki o życiu Białego Domu, ich mieszkańców i milusińskich. W wizerunku pary prezydenckiej bowiem istotne jest też miejsce, jakie zajmują w ich życiu dzieci, a nawet... psy czy koty. Ulubieńcy Clintonów – kot Socks, a potem pies Buddy, zajmowali niemało uwagi Amerykanów i gościli nieraz w mediach, pojawiając się na honorowych miejscach w ramach *news*. Ogromna popularność tych ulubieńców spowodowała napływ rozlicznej korespondencji od dzieci do... Socksa i Buddy’ego. W przeszłości część tych listów Hillary Clinton wykorzystwała do książki *Dear Socks, Dear Buddy* (1998), ze sprzedaży której fundusze przeznaczono na parki narodowe (s. 435–437).

Naturalnie wiele miejsca poświęca Autorka swojej córce Chelsea, która w trakcie ośmiu lat w Białym Domu zdążyła dorosnąć. Nie ma powodów, by nie wierzyć, że Clintonowie chcieli zapewnić jedynaczce normalne życie nastolatki (problem ten wielokrotnie pojawia się na kartach tej książki). Poznaliśmy zatem ich rodzicielskie dylematy związane z wyborem szkoły (wybrali doskonałą prywatną szkołę kwakerską) oraz starania rodziców, by zabezpieczyć jej prywatność i ochronić przed mediami (co było sprawą bardzo trudną, zwłaszcza w obliczu późniejszych oskarżeń i afer). Hillary Clinton humorystycznie opisuje zdobywanie przez Chelsea prawa jazdy, zwłaszcza że nauczycielem jazdy był... Bill Clinton. Sporo uwagi poświęciła również samodzielnej decyzji córki o studiowaniu na Uniwersytecie Stanforda, co nie było dla rodziców łatwe do zaakceptowania, gdyż chcieli ją mieć obok siebie. Musieli jednak swój opór przezwyciężyć i pogodzić się z decyzją córki (s. 339, 372–373, 420). Chelsea często towarzyszyła rodzicom w rozmaitych podróżach, które były najlepszym sposobem zgłębiania wiedzy i poznawania świata, z jego dodatnimi stronami, jak również problemami i zagrożeniami. Wprowadzali też ją w ten sposób w życie dorosłe.

Hillary Clinton starała się zazwyczaj dyskretnie i dyplomatycznie pisać o wielu sprawach i ludziach, także niezbyt jej przyjaznych. Ale o jednej osobie, która często gości na stronicach tej książki, nie mogła i nie umiała pisać bez złośliwości. Kenneth Starr, bo o nim mowa, powołany w styczniu 1996 roku na stanowisko niezależnego oskarżyciela, przysparzał *First Lady* i jej rodzinie wielu zmartwień i kłopotów (s. 244–245). Hillary Clinton nie potrafi ukryć, że go nie lubiła, a po kilku tygodniach jego prokuratorских dociekań irytował ją coraz bardziej. Nie chciała tego ukryć i nie potrafiła, w odróżnieniu od prezydenta, okazywać mu grzeczności i kurtuazji, choć starała się usilnie zapanować nad swoimi negatywnymi emocjami podczas wystąpień publicznych (s. 297). Uprzedziła się do Kennetha Starra, który – jej zdaniem – postawił sobie za cel metodyczne niszczenie jej męża. Kiedy zawodziły dostępne środki i metody, sięgał po następne, które mogłyby skuteczniej i celniej ugodzić w prezydenta. Naraził się dodatkowo Hillary, bowiem w ramach śledztwa zmusił ją do składania wyjaśnień przed *grand jury*. Było to dla niej, jak przyznaje, publiczne upokorzenie, bowiem stała się pierwszą *First Lady* składającą zeznania w sądzie federalnym. Ale, jak dodaje, postanowiła to zrobić „na własnych warunkach”. 26 stycznia 1996 roku, z udawanym spokojem i uśmiechem, a przede wszystkim godnością, przez 4 godziny zeznawała w sądzie. Odpowiadała na trudne i bynajmniej nie kurtuazyjne pytania, starając się – jak wyznała potem – nie pokazać, jak było to dla niej trudne emocjonalnie zadanie. Po powro-

cie do domu z nieukrywaną ulgą stwierdziła, że cieszy się, iż ma to już za sobą (s. 335–336).

Kolejne miesiące pracy Komisji Starra uznała Autorka za zorganizowany, kompleksowy atak na prezydenturę męża. Poczynania Starra zmierzają za wszelką cenę do osłabienia, skompromitowania, a następnie ustąpienia Billa Clintona. Sprawiało to wrażenia, jak pisała, pojedynku wrogów walczących na śmierć i życie. Kenneth Starr zachowywał się, zdaniem wielu obserwatorów ówczesnych wydarzeń, jak kot czyhający na kanarka (s. 439). Z satysfakcją pisze, że w końcu prokurator musiał uznać, że Vincent Foster popełnił samobójstwo, a tzw. sprawa Whitewater też nie przyniosła mu spodziewanego rozgłosu i sukcesu. W takiej sytuacji przypuścił on frontalny atak na Clintona w sprawie Pauli Jones i jej oskarżeń o molestowanie seksualne. Ale, jak twierdzi Hillary Clinton, była to propaganda prawicowych fundamentalistów, którzy dotychczasowymi atakami nie mogli osiągnąć prezydenta, więc zdecydowali się na sfabrykowanie kolejnych materiałów.

O sprawie Moniki Levinsky dużo pisały gazety na bieżąco, a i potem napisano jeszcze wiele książek, więc nie ma potrzeby, by to tego wracać. Ważne jest, jak Hillary Clinton ją widziała i odnosiła się do niej. Pisze ona, że w styczniu 1998 roku Bili przyznał się jej, że nakłaniał stażystkę do fałszywych zeznań w sprawie Pauli Jones. Nic natomiast nie wiedziała o „niewłaściwym zachowaniu” i „bliskich relacjach” męża z Moniką Levinsky, jak pisze, zwłaszcza że ją wciąż zapewniał, iż jest to nieprawda. Wierzyła mu, a wszelkie spekulacje i sensacje prasowe uważała za wrogą i spreparowaną kampanię przeciwników politycznych męża. I taką wersję podtrzymuje, także po latach (s. 440–441).

21 stycznia 1998 roku, kiedy romans prezydenta ze stażystką ujrzał światło dzienne, informacja ta musiała w końcu dotrzeć do małżonki. Czując się zraniona, oszukana, upokorzona, ale starała się zachować zimną krew i nie okazywać swoich emocji, co nie było łatwe, zwłaszcza pod ostrzałem dziennikarskich zapytań. Zdawkowo o tym pisze i, choć romans męża stał się sprawą publicznie nagłośnioną, podtrzymuje ówczesną wersję, że był to bezpardonowy atak na niego osobiście i jego politykę. Oskarża prawicę o konspirację przeciwko Clintonowi, z wykorzystaniem wszystkich dostępnych środków i metod – pieniędzy, władzy, wpływów, mediów etc. W takiej sytuacji, jak podkreśla, nie miała innego wyjścia niż stać przy nim i bronić go najusilniej, jak tylko mogła. Dodaje przy tym, jakby od niechcenia, że nie było bynajmniej przyjemne to, co o nim wtedy mówiono. I było to trudne emocjonalnie, zwłaszcza kiedy odpowiadała na natarczywe zapytania dzien-

nikarzy i wypowiadała się w telewizji do milionów Amerykanów (s. 442–444). Jej konsekwentny upór i godność w tych trudnych dla niej miesiącach doceniali na swój sposób nawet jej zagorzali krytycy. Większość Amerykanów też uważała, że Komisja Starra już dawno przekroczyła granice nie tylko zdrowego rozsądku, dobrego smaku, ale także swoich kompetencji. Odczuwało się powszechne zmęczenie opinii publicznej, a także postępujące zniechęcenie stron konfliktu, o czym szeroko pisano w gazetach amerykańskich.

Hillary Clinton oburza się na hipokryzję wielu polityków pozujących na moralistów i domagających się *impeachment* wobec prezydenta (m.in. Newt Gingrich, s. 450). Z przykrością pisze, że atakowani i prześladowani byli ich przyjaciele (m.in. Jim i Susan McDougal), a także niesłusznie oskarżani niewinni ludzie, co pozostawiło poczucie niesprawiedliwości i gorycz. Z niepokojem też obserwowała inne nieuprawnione i niepotrzebne, a nawet, jej zdaniem, niebezpieczne dla systemu poczynania prokuratury, m.in. przesłuchiwanie agentów ochrony osobistej prezydenta. Oczywiście musimy pamiętać, że pisze o własnych odczuciach.

Pod enigmatycznym tytułem rozdziału *Sierpień 1998* Hillary Clinton opisała swoje widzenie „sprawy Levinsky”. 15 sierpnia mąż przyznał się jej, że miał „sporadyczne i niestosowne” kontakty ze stażystką, po czym w telewizji przeprosił Amerykanów za swoje kłamstwa. *First Lady*, choć dyskretnie o tym pisze, nie ukrywa, że były to dla niej szczególnie trudne chwile. Była wściekła i bezsilna. Czuła się zraniona, zdradzona i upokorzona, zupełnie nie wiedziała, co z tym począć (s. 466). Czas, a zwłaszcza rozmowy z Walterem Cronkite’em i Maurice’em Tempelmanem okazały się jej pomocne w tych dramatycznych rozterkach życiowych. Pomogły też, jak pisze, przebaczyć mężowi, którego nadal kochała. I choć nie była pewna, czy ich małżeństwo przetrwa, postanowiła – w obliczu zaciekłych ataków na męża i domaganiu się *impeachment* – popierać „swego prezydenta” (s. 470). W kolejnych miesiącach utwierdziła się jedynie w przekonaniu, że Starr nadużywał swej władzy, a *impeachment* nie miał, jej zdaniem, podstaw prawnych i skonstruowany był na wątpliwych przesłankach.

9 września 1998 roku światło dzienne ujrzał raport Starra, 445-stronicowy tekst, składający się z ponad 110 tys. słów i towarzyszących mu 36 pudeł innych dokumentów (s. 475). Nie zmieniło to w niczym jej widzenia sprawy, a badania opinii publicznej wykazywały wciąż co najmniej 60% poparcie dla prezydenta. Mimo tylu oszczerstw i towarzyszących im skandali obyczajowych oraz niebywałego nagłośnienia w mediach Bill Clinton był popularnym, a więc i aprobowanym przez większość rodaków prezydentem, jak pisała. Być może było to i dla niej pewnego rodzaju alibi (przynajmniej

taką interpretację sugeruje tekst), z którym czuła się lepiej. Skoro rodacy go wspierają, to i ona powinna go wspierać, nie tylko jako swego męża, ale i prezydenta. O samym *impeachment* pisze niewiele, ale z ulgą, że w końcu i to się nie udało wrogom.

Nie ma powodów, by nie wierzyć, że wielu zachęcało ją do ubiegania się o stanowisko senatora w stanie Nowy Jork. Ale tak naprawdę to ona sama musiała tego chcieć i to znacznie wcześniej niż się do tego przyznała publicznie. W prasie też nieraz spekulowano o takiej możliwości i robili to, choć z różnych powodów, zarówno sympatycy, jak i przeciwnicy polityczni. Faktem wszak jest, o czym wiedzieli wszyscy, że byłaby w ten sposób pierwszą *First Lady* w historii USA pełniącą stanowisko senatora i pierwszą kobietą senatorem w stanie nowojorskim. Czyż nie były to wystarczające wyzwania dla tej niezwykle energicznej, błyskotliwej, o rozległej wiedzy i doświadczeniu kobiety, o której coraz częściej mówiono, że jest „urodzonym politykiem”?

Autorka przyznaje, że mąż, także przyjaciele, a nawet przypadkowo spotykani ludzie zachęcali ją do podjęcia tego wyzwania. Ale była to, jak pisze, jedna z dwu najtrudniejszych jej życiowych decyzji, a więc czy pozostać nadal żoną Billa Clintona i czy ubiegać się o stanowisko senatora nowojorskiego (s. 505). Pomijając kokieteryę, z którą należy się liczyć, na pewno Hillary Clinton niełatwo było zdecydować się na taki krok. Ale zrobiła to. 7 lipca 1999 roku, w posiadłości Patricka Moynihana w Pindoras Corners, w obecności ponad 200 dziennikarzy publicznie zapowiedziała, że będzie ubiegać się o stanowisko senatora w stanie Nowy Jork. Niedługo potem jej zamiary i plany na przyszłość szeroko komentowały media nie tylko w USA. Chyba była usatysfakcjonowana perspektywą aktywności politycznej, która ją pociągała. Przez lata była przyzwyczajona do faktu, że to imię i nazwisko męża zawsze figurowało na listach wyborczych i plakatach. Teraz z dumą odnotowała, że tym razem chodziło o nią. Uzyskała w ten sposób samodzielność i niezależność, o której zapewne musiała nieraz marzyć.

Ponad rok później, 7 listopada 2000 roku, Hillary Clinton zwyciężyła swego republikańskiego rywala Ricka Lazio i wygrała wybory. Osiągnęła przy tym znakomity wynik, co z pewnością dawało jej wiele radości i satysfakcji. 3 stycznia 2001 roku złożyła przysięgę i została w ten sposób pierwszym senatorem kobietą w stanie Nowy Jork.

Hillary Clinton kończąc obowiązki *First Lady* nie musiała się martwić o brak zajęć i zadań na najbliższą przyszłość. Wchodziła do „nowojorskiej politycznej dżungli” pełna energii, nadziei i przeświadczenia, że podobnie

jak niegdyś jej wielka poprzedniczka Eleanor Roosevelt – zaczyna pracować na własne konto („*on my own*”). Przeciwnicy natychmiast dostrzegli w tym jej dalekosiężne ambicje polityczne (a więc i dla nich stanowiące zagrożenie), bowiem stan nowojorski jest znaczącym w kreowaniu przyszłych kandydatów do Białego Domu. Sympatycy i zwolennicy Hilary Clinton, kibicując jej poczynaniom, z nadzieją liczą, że w wyborach 2008 roku będzie pewnym kandydatem demokratów na stanowisko prezydenta USA. Jeśli je wygra, będzie pierwszą kobietą prezydentem w amerykańskich dziejach.

Halina Parafianowicz